



## Władysława Kamińska

część V z V

Sygnatura notacji: N0877

Data urodzenia: 14.11.1930 r.

Data nagrania: 28-29.11.2016 r.

Miejsce nagrania: dom świadka, Bydgoszcz, Polska

Prowadząca/y rozmowę: Rafał Pękała

Czas nagrania: Część I: 47 min, część II: 70 min, część III: 84 min, część IV: 59 min,

Format nagrania: video

Język nagrania: polski



## TRANSKRYPCJA



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

**Rafał Pękała:** Wspominała pani o tym, że młodzież na Wołyniu lubiła grać w fanty, tak?

**Władysława Kamińska:** Tak.

**Rafał Pękała:** Na czym polegała ta taka zabawa, gra?

**Władysława Kamińska:** Proszę pana, to było... Nie wiem, ja już teraz też, wie pan, też mi uleciało, od czego to się... ale w każdym bądź razie, że jakoś było tak, że jak coś tam... Zagadka jakaś, coś i nie potrafiła odgadnąć tego, coś, trzeba było fant dać od siebie. Na przykład chusteczkę, bo to przeważnie chusteczkę, czy tam na ręce była bransoletka, czy bransoletkę, czy koraliki zdjąć i koraliki podać. Potem ten fant trzeba wykupić. I wtedy wymyślano różne takie, takie śmieszne, wie pan, jak wykupić ten fant. Coś trzeba było zrobić. No, zależy. Czasem łagodniejsze, było łagodne to. O, zaśpiewać coś, czasem samemu zatańczyć tam coś, a czasem na przykład był taki fant, gotłbki nakarmić. To wie pan, to już takie było, tak jak przed wojną, to już takie było, wie pan, jak gdyby powiedziałabym sprośne trochę, bo wtedy przeważnie siadało się tak, tak, wie pan, ładnie, zawsze dziewczyna, chłopak, dziewczyna, chłopak, nie tak, że same dziewczyny usiadły, taka przeplatanka była. I jak nakarmić gotłbki, przypuścmy, ja siedzę i pan, to trzeba było tego partnera, jeżeli to wypadło na dziewczynę, to trzeba było tego partnera obok pocałować. W policzek, ale trzeba było. Przed wojną, to wie pan, policzek nawet to to było już takie, mówię, tak bardzo skromnie to się żyło. Jak dla pana wypadło, to pan musiał panienkę pocałować. Potem nieraz była poczta, zabawić się w pocztę. Bo ja nie wszystkie zapamiętałam te takie. To na przykład siedzi tak 10 osób i ta panienka pierwsza, czy

ten pan pierwszy, pocztę, musi coś nadać, telegram. On partnerce mówi na ucho, cichutko, przypuśćmy: „Kocham cię”. Ona dalej to powtarza, ale w końcu jak dojdzie do ostatniego, to już to „kocham” jest zupełnie zmienione, już zupełnie. I to wie pan, wtedy śmiechu tyle, bo to wyjdzie zupełnie już coś innego, i potem co nadał, jaki telegram nadał nadawca. No nadawca mówi: „Ja nadałem «kocham cię»”, a co odbiorca otrzymał? Odbiorca już zupełnie to, bo to celowo się już tam przeinaczało. Odbiorca już zupełnie co innego otrzymał. Wie pan, i to śmiechu tyle, wesoło. Potem było też takie podchwytliwe. Stań nago. To trzeba było też pomyśleć. To kredę prędytko na podłodze narysowało się „go”, słowo „go”, i stawało się na „go”. Stań na „go”. No, stało się na „go”, ale dwuznacznie było, bo stań „nago”. Tam było takie to wykupowanie fantów, a te fanty to nie wiem też, jakaś taka była gra jakaś. Jak z tamtej gry coś tam, wie pan, nie umiał jakoś tam wymówić, czy zagrać, czy coś, to musiał fant dać i coś osobistego swego. Panowie to krawat, to spinki od mankietów. Potem mieli do krawatów takie spinki, też przypinało się. To spinka od tego. Mówię, coś musiał pan dać swego.

**Rafał Pękała:** A młodzież jak się bawiła, to bawiła się tylko młodzież polska czy też wśród nich byli Ukraińcy?

**Władysława Kamińska:** Nie, Polacy. U nas jak bawiliśmy się, tylko Polacy byli. I to wtedy młodzież nie z naszego osiedla była, tylko zjeżdżała się młodzież z dalszych takich, bo dalej było Polaków więcej, z którymi znali się rodzice moi i młodzież się znała, ale to już i 10, i 15 kilometrów od nas ta młodzież była. Tylko Polacy bawili się. Tak, to już mówię nie, Ukraińcy nigdy z nami razem. Ukraińska była tylko orkiestra. Jak już była zabawa, bo to w karnawale były zabawy zawsze. Tak jak i dzisiaj karnawał to był zabawowy. W adwencie darło się pierze. O Boże, bo przecież kiedyś trzymało się tyle gęsi, kaczek. Przecież to musiała być pościel, jak pan wie, wyprawna dla panien. Przecież to panienka kiedyś to wyprawę musiała mieć, pościel, poduszki, kołdry z pierza, a to pierze przecież w środku ma taki ten, jak to się nazywa, taki ten...

**Rafał Pękała:** Puch.

**Władysława Kamińska:** To twarde, nie wiem, jak to nawet nazwać. Że dopiero piórka z boku, a to przecież takie grube i to ostre, to trzeba obedrzeć z tego. To karnawał był do... Nie karnawał, tylko adwent. Bo to już zimowe wieczory bardzo długie i wtedy taka była... Tak po sąsiedzku, tak lubili, przypuśćmy, dzisiaj u nas zbierają się wszyscy, przychodzą panienki przeważnie, nieraz i mamusi przychodziły, że tak powiem sąsiadki w wieku mamusi. U nas darcie pierza jest. Nasze pierze się drze. I to w kuchni, pozamykane drzwi do pokoi, bo to pierze tak kurzy, wie pan, pozamykane, żeby do pokoju nigdzie. I to pierze drze. Na drugi wieczór umawiają się, u drugiej sąsiadki darcie. Mówi do mojej siostry mamusia: „Tam idą, tam darcie tego pierza jest”. No, a nieraz i kawalerowie przyszli na to, żeby dowcipkować, kawalerowie to tam nie darli pierza. Dowcipkowali i psocili się. Jak wiadomo, pierze, toż to puch jest. Jak lecusieńko dmuchniesz, to to pierze w powietrze. To nieraz kręci się taki tam jeden z drugim kawaler. Mówi: „Ale to pierze ma taki duży puch”, no to to pierze w górę, „puch” i tak wziął, dmuchnął. To pierze po całym, wtedy na niego wszyscy, wyganiają go z tej kuchni, żeby on tutaj nie był, nie psocił się. Wie pan, wesoło. Młodzież tak żyła po wojnie beztrosko, wesoło. Ponieważ było tyle zaborów, przecież 123 lata zaborów mieliśmy. Nie było tej Polski, więc wie pan, jak to się wszyscy cieszyli tą wolnością, tą Polską uzyskaną, że mówię, takie było beztroskie to życie, ale cóż z tego. Jak już mówię, już w 1937, chyba 1938 roku już były słuchy, że jednak będzie wojna. Wiemy, że tatuś

już wysłuchał, że będzie wojna. Tatuś i mamusia bardzo dużo czytali książek. Mamusia mniej miała czasu, bo taka rodzina duża, to wieczory przeważnie, jak wiadomo, coś poprawić, to zszyć, to jakąś tam łateczkę przyłożyć, bo kiedyś to nie to, że jak dziurka, to już wyrzucić, tylko trzeba łateczkę i można jeszcze znosić, tam pod spód coś. To tatuś nieraz siedział, czytał na głos nasze polskie trylogie, Sienkiewicza i inne książki, „Krzyżacy”, żeby mamusia słyszała. A mamusia jak już miała chwilę czasu, ale to już dużo tego czasu nie miała, to bardzo dużo czytała. Potem jak już była u mnie, już starszą osobą, to też czytała. Ja nie mogłam nadążyć, wówczas ja nie miałam czasu na czytanie, bo rodzina była. Przecież to wiadomo, trzeba było jednak dbać o to. A mamusia czytała. I tatuś czytał kiedyś prorocтва Sybilli, i też ja, a ja zawsze przy rodzicach byłam, bo najmłodsza, to wiadomo, kręciłam się. I też słyszałam, jak tatuś mamusi czytał te prorocтва Sybilli. I takie, jako dziecko, wie pan, takie słowa mi się wryły w moją pamięć, i tak niby, bo mówię, byłam dzieckiem, przstraszyły mnie. Że będzie tak straszna wojna, tak ludzie wyginą, że człowiek będzie szedł i szukał człowieczego śladu, a jak znajdzie ten ślad, to będzie go całował. I wie pan, to zapamiętałam, i to mnie takim lękiem przejęło, mimo że dzieckiem byłam. Że taka będzie wojna straszna. Wie pan, mamy atomową wojnę, już była. Hiroszima, była Nagasaki. Mówię, że człowiek będzie szedł i ślad ludzki całował. Potem jeszcze taki fragment mi utkwił, że żółta rasa zaleje cały świat, a z góry Mont Blanc, to jest w Szwajcarii chyba ta góra, w Alpach, wyjdzie białe wojsko, które zwalczy tę żółtą rasę. To też zapamiętałam z tego prorocтва Sybilli, jak tatuś czytał mamusi to.

**Rafał Pękała:** A czy pamięta pani, czy było coś takiego, jak chodzenie z gwiazdką?

**Władysława Kamińska:** Tak. Oj, na gwiazdkę.

**Rafał Pękała:** Na gwiazdkę, tak.

**Władysława Kamińska:** Jakie to piękne. Poprzebierani, młodzież poprzebierana. Wie pan, gwiazda olbrzymia. Przynajmniej metr miała średnicy. I gwiazda... A, już się spaliło. I gwiazda, wie pan, była taka, że kręciła się. Jak za róg pokręcić, to ona tak w kółko się kręciła. Kręciła się. I w środku szopka była. Ta gwiazda z kolorowych papierów zrobiona. Piękna. Nie wiem, na jakiej, bo nieraz ta gwiazda... Ale wtedy się nie kręciła. Jakoś tam świeczka była wstawiana, bo przecież prądu, mówię, nie było u nas, tylko świece. Świece i lampy naftowe. Że ta gwiazda podświetlona była. To była i śmierć na biało ubrana, do ziemi w takich szatach z kosą. Maskę miała taką białą na te, i turoń był, i mówię, przebrani pastuszkowie, i Herod. Ach, to było tradycyjnie. I kolędownali. Bardzo ładnie kolędownali. I wie pan, wtedy trzeba było... To już trzeba było zapłacić kolędnikom. Ale też w sensie dawało się to, co z domu. To jak na Gwiazdkę, to mamusia dawała kiełbasy takie i takie pętko kiełbasy, bo jak ich przyszło tam z siedmiu, to żeby każdy miał po kawaleczku. I ciasta im włożyła, tam jeszcze coś, czy szynkę jakąś, czy coś tam. Zawsze coś z jedzenia się im dawało. To oni zbierali. Na Wielkanoc, Dyngus, oblewanie wodą było. Bo u nas nie były modne różgi, bo to teraz jest ten Dyngus z różgi, a Śmigus wodą. A u nas był tylko Śmigus, wodą. To to polewanie, Boże kochany. I też chodzili wtedy już takie... Bo z gwiazdką młodzież chodziła. A na Wielkanoc to takie mniejsze dzieciaki, jakbym powiedziała. I też koszyczek mieli, żeby im coś w ten koszyczek włożyć, to już tym dzieciakom przeważnie trzeba było mieć cukierki, żeby cukierków wsypać do tego koszyczka, jajeczek włożyć. A jajeczka, były pisanki robione. Ja jeszcze umiałam nawet pisać te pisanki, prawdziwie woskiem pisanki pisać. To umiałam. Takie robiło się, taki lejek, to do takiego patyczka przymocowany, wosk, nie parafina, wosk naturalny pszczeli roztopiony, nad świeczką

zawsze miseczka była, bo gorący i jajeczko białe, umyte ładnie, czyściutko. Robiło się wzory i potem farbowało się go. Mamusia nigdy nie kupowała farb, bo mówiła, że farby to jest już sztuczne coś. W cebulniku. Łupiny z cebuli. Jakie piękne kolorowe to były jajka. Bo każde jajko ma inną strukturę skorupy. Jedno jest jaśniejsze, jedno ciemniejsze. To tak, że one nie były równe w jednym kolorze, tylko to ciemnoczerwone, to jaśniejsze czerwone, to żółtawe tylko. I tam, gdzie był воск, to pod woskiem białe zostawało, czyli jajeczko ufarbowane, a pod wzory woskiem napisane, białe. Воск odpadał, wtedy już po ugotowaniu, воск odpadał i te białe piękne te pisanki były. Och, to była tradycja malowania tych pisanek przed Wielkanocą i ja nauczyłam się. Ja jeszcze dzieciom pokazywałam, jak się robi prawidłowe, prawdziwe pisanki polskie. Tak że mówię, w Andrzejkę воск lanie. Ach, wie pan co, Andrzejkę to był cyrk. Zbierały się u nas młodzież, sama młodzież, wolna, znaczy nieżonaci. I wtedy te wróżby andrzejkowe, ale jakie różne inne. Na przykład wystawiało się, tak jak było 10, 12, 15 osób, z każdego osobnika but jeden wystawiało się rzędem. Tam pod ścianą, przypuścmy, te buty wystawiało się. I teraz w te buty... Ale co w te buty wkładało się? Coś tam wkładało się w te buty. Potem puszczało się pieska domowego do domu. Który bucik piesek schwycił, ta panna albo kawaler w tym roku wyjdzie za mąż. To robili psoty. Kogo tam, bo wie pan, jak to między młodzieżą, kogoś tam nie lubili czy dziewczyny jakiegoś chłopaka tam nie lubiły, czy chłopaki znów, jakaś nieraz dziewczyna była taka, jak to się mówi, przemądrzała, taka tego, to nie lubili jej, to wtedy wzięli, w ten but tej dziewczyny włożyli coś takiego odpychającego, znacz w sensie, wie pan, pachnącego, że pies tak doszedł do buta i zawył, i uciekał. To ubaw mieli z tego, że do tego, a tam było już włożone coś takie, co psa... Oni wiedzieli, jak wiadomo, co pieska drażni, że pies podszedł, powąchał i „uuu...”, i zawył, i uciekał. Mówię panu, że to były takie różne te wesole. A to było tyle śmiechu, bo to ja tak tylko to. Wróżby, pod poduszkę coś tam dziewczyny kładły, jakieś karteczki chyba z napisami imion i potem chyba jak obudzi się...

**Rafał Pękała:** Której się przyśni, tak?

**Władysława Kamińska:** Tak, znaczy andrzejkowe te. Jak obudzi się, która tam na oślep weźmie tę karteczkę, jakie imię, to za tego wyjdzie za mąż. Takie różne wróżby. Dużo było tych wróżb. Bardzo dużo. A na Sylwestra psoty. Wie pan, że już takie psoty robili, że naprawdę nieraz to to było pół dnia roboty, żeby to potem posprzątać po tym. Bardzo duże. To w Sylwestra. To już bracia... Tatuś już nie, bo było braci przecież trzech, to bracia już tam czuwali, trzymali tę wartę, trzymali koło domu. To, że tak jak tutaj nieraz na Pomorzu to tylko o furtkę wystawili, to tak słyszałam, że psota była, furtkę wystawili. Nie, u nas potrafili tak domy, nasz dom był wysoki, tak jak pan nawet widzi na zdjęciu. Nasz dom już był wysoki, ale te inne domy takie, to były takie nie za wysokie. To wciągnęli, wzięli sanie, wie panie, płozy całe na dach wciągnęli. Wciągnęli na dach. Postawili na dachu. Dachy były zawsze dwuspadowe. I na dachu. To weszli na dach, komin zapchali czymś. Rano gospodyni rozpala, a dym do domu wali. Nie kominem idzie do góry, do domu, bo komin zapchany. To, proszę pana, było, to też było tak i śmieszne, ale to i roboty potem było. Weszli do jakiejś sąsiedzkiej stodoły, bo nie zamykało się tego nigdy. Przecież budynki te gospodarcze nie były zamykane na klucz. W czasie wojny już tatuś zamykał na klucz, bo już kradli i krowy, i świnie, to w czasie wojny już tatuś chlewy, obory zamykał na noc na kłódki, były takie, na kłódki. Zboże było w snopkach, wynieśli to zboże z tych, trochę tego zboża i obok domu postawili kilka kupek. Tak jak ja mówię, te kopki takie i taka duża tablica napisana, na słupku wbita w te kopki: „Arabskie żniwa”. I trzeba było potem z powrotem te kopki do stodoły poznosić. To, proszę pana, drzewem się paliło, bo przecież węgla... Przed wojną nie pamiętam węgla, drzewo tylko. To zawsze była tak zwana drewutnia,

czyli szopa na drzewo, i tam kubiki były tego drzewa. Już takie, wie pan, gotowe. Niektóre duże kloce, niektóre już takie do opał, gotowe, poukładane w rzędy. To nieraz wynieśli z tej szopy sporo tego drzewa i pod drzwi wejściowe położyli, że jak rano wstać trzeba, drzwi otworzyć, nie można drzwi otworzyć, bo jest drzewem założone. To trzeba było przez okno wyjść. Któryś brat musiał wyjść przez okno, wyskoczyć, i to drzewo z powrotem. Mówię, że takie psoty robili. Ale śmieszne to były, bo nieszkodliwe, ale nieraz, mówię, trzeba było popracować, żeby z powrotem przywrócić do ładu to wszystko. Ach, mówię, ale to było, Boże, jakie to było wesołe te sylwestrowe psoty, co robili. Och, Boże. A, to mówię, to było tak, a już ja panu powiem, jak rozpoczęła się wojna, to przestali już. Tak jednak już smutno było i już potem te wojenne święta były, to już mówię, nie robili już tych psot. Bo młodzież, pozabierali Rosjanie zaraz wszystką młodzież, do wojska zabrali, między innymi mego brata najstarszego, bo był 1919 rocznik, zabrali do wojska. I przeszedł też, aż szedł do... Dokąd on doszedł? Wcielili go do ruskiego wojska, bo jeszcze wtedy, w 1940 roku, nie było polskiego, dopiero w 1942 roku powstało. W 1942, bo w 1943 była bitwa pod Lenino. Powstało wojsko polskie. Dlatego do rosyjskiego wcielili. I szedł z armią rosyjską, w rosyjskim umundurowaniu i walczył przeciw Niemcom. Był ranny pod Mińskiem Mazowieckim, a Niemcy dobijali więźniów. Nie więźniów, tylko jeńców, dobijali. I brat był ranny w nogę. I tak jak panu mówiłam, u nas Niemców dużo mieszkało, więc każdy z nas parę słów, i ja do dzisiaj parę słów tych niemieckich znam. Że tam, jak to się mówi, kalecząc, można coś powiedzieć. I przychodzi Niemiec z pistoletem do niego, dobić, a brat mówi: „Kamrat...”, kolego, mówi, „Nie zabijaj mnie, arbit rękami. Ja mogę pracować rękami, tylko noga chora”. I mówi do niego, tam jeszcze coś tam powiedział, że ma matkę starą w domu i mówi, tak ten Niemiec popatrzył na niego, opuścił pistolet, zawołał sanitariuszy i zabrali brata do szpitala. Bo tylko ranny w kolano był, przestrelone kolano miał. Wyleczyli i do obozu jenieckiego. I trzymali go i tak, pod Mińskiej Mazowieckim był ranny, potem front już dalej szedł, cofali się, bo już Niemcy, jak wiadomo, cofali się i tych jeńców za sobą ciągnęli też. I już byli na terenie Niemiec, nad morzem. Tylko wyleciało mi z pamięci, jaka to była miejscowość, ale to już nie był Gdańsk, to już była jakaś niemiecka miejscowość. Nad morzem. I już zbliżał się koniec wojny, już 9 maja. Zasadniczo ja teraz wyczytałam, że 8 maja było zakończenie wojny, tylko Rosjanie zmienili na 9 maja, a prawidłowe podpisanie było 8 maja. Ja przyjąłam to tak, jak myśmy świętowali, 9 maja na ulicach te wiwaty były. A to Rosjanie zmienili na 9 maja. I brat opowiadał, byli już w niemieckim mieście jakimś nad morzem. Brema, tak jakby Brema mi coś, że w Bremie byli. Kazali im, zapakowali ich do takiego starego okrętu, takiego, wie pan, ja kto się mówi, wraka. I pytają się, mówi: „Gdzie my popłyniemy?”, bo załadowali ich tam. A Niemiec odpowiada: „Tam, gdzie nie ma wojny”. A oni mieli ten wrak cały zaminowany i mieli puścić go w morze, żeby rozerwał się i wszystkich. I wojsko, a to już było, bo brat dostał się pod okupację, to było w głębi Niemiec, bo brat dostał się pod okupację już amerykańską. I nie zdążyli ich w to morze wypuścić, i weszli Amerykanie, i prędko, a już wiedzieli, że to są takie sprawy, że to może być zaminowane. Cały ten był zaminowany, jak wiadomo, na godziny tam było oznaczone, kiedy to ma wybuchnąć. I mówi: „Uratowali nas jeńców Amerykanie”. Brat dostał się pod strefę amerykańską. I potem do Anglii, dostał się do Anglii, to angielsko-amerykańska była, bo to wtedy już były armie zaprzyjaźnione, Francja, Anglia, Ameryka. Dostał się do Anglii i pracował, wiadomo, jako obcokrajowiec żyć z czegoś trzeba było, w kopalni węgla w Nottingham pracował. I miał kolegę, z którym też całe te niedole przeszli z Rosji. Nazywał się Sawicki. Taki serdeczny kolega. I ten kolega miał w Stanach Zjednoczonych rodzinę. I już ta rodzina wystarała się, żeby tego kolegę, tego swego jakiegoś tam kuzyna, wujek, nawet chyba był wujek tego młodego człowieka, zabrać do Stanów Zjednoczonych. I tam dokumenty wystali z Ameryki i on pojechał, ten kolega do Stanów. I odjeżdżając, powiedziała do brata: „Ja ciebie nie zostawię. Jak ja się tylko jako tako urządzę, żebym mógł cię już do siebie zabrać, to ja ciebie

zabiorę z Anglii”, bo bardzo niebezpieczna sprawa była. Praca była, bo wiemy jak w kopalniach zawały te różne, że to nie to, że ciężko pracować, ale groziła śmierć. I faktycznie nie trwało, nie wiem, czy do pół roku, czy co, przysłał dokumenty, wizę dla brata i zabrał go, bo to przecież Amerykanin musiał gwarantować pobyt tej osoby u siebie, że mu da wyżywienie, da mu mieszkanie, jeżeli do siebie zabiera. I ten kolega, pamiętam nazwisko, Sawicki, brata ściągnął do Stanów. I tak że brat już w Stanach dożył życia. 82 lata dożył i zmarł. Przyjechał do Polski, ożenił się tu z Polką, i pojechał z powrotem, już nie wrócił do Polski. Mój brat już nie wrócił. Brat o moim imieniu był, Władysław. Było u nas, mówię, podwójne imiona, Władysław, Władysława, Józef i Józefa. Były takie podwójne imiona, bo brat Józef był, siostra Józefa.

**Rafał Pękała:** Pani Władysławo, jakieś kresowe słowa, które tylko na Kresach występowały, czy może pani jakieś pamięta?

**Władysława Kamińska:** Proszę pana, jest dużo tych słów. Ja już będąc tu na Pomorzu, nie chciałam ich używać, ponieważ myślałam, że to są takie regionalne nasze słowa. I tak wie pan, tak jak tłumaczyłam wczoraj, człowiek aż by się wstydził, takimi, jak to się mówi, regionalnymi swoimi słowami posługiwać się. Proszę pana, jak ja teraz już więcej człowiek ogląda telewizji, wszystko, to te słowa są używane wszystkie. To są prawdziwe słowa, które tu Pomorze nie znało tych słów, ale ja w telewizji słyszę te słowa. Na przykład ja w krzyżówkach siedzę, to ja mam te słowa w krzyżówkach. Proszę pana, pierwsze: makutra. To jest naczynie, micha, powiedziała bym z gliny wypalana. W środku ona jest chropowata i w tym się ucierało mak. Był tłuczek drewniany, mak się parzyło, bo nie było tak maszynek jeszcze, tak jak panu mówię, już u nas była przed wojną potem maszynka, a to trzeba było ręcznie wszystko robić. I ten mak najpierw mamusia wrzątkiem sparzała, czy zagotowywała go, już nie pamiętam, i potem odcedzała, i do tej miski, i cukier dodawała tym wałkiem, te maki, to już maczek, tak pan wie, drobnusieńkie nasionka wszystkie rozduścić, żeby to była miazga. To była makutra. Jak mój syn starszy poszedł do szkoły, i właśnie na lekcji jest, pierwsza klasa, już tam nie pamiętam, czy druga była, jest mowa, jakie tam naczynia kuchenne. Coś tam nauczycielka zapytała się, w czym mamusia ciasto robi. A mój syn, wiedząc, w czym ja robię, mówi: „W makutrze”. A nauczycielka mówi: „Nie, źle powiedziałaś. W rynce robi to ciasto”. Przychodzi, mówi: „Mamusiu, pani powiedziała, że nie makutra, tylko rynka”. Aha, to jest nasza wołyńska, regionalna. Teraz ja wciąż mam słowo „makutra”. A kucharze, którzy występują, nieraz pokazują makutrę, w makutrze uciera coś. Albo ten jest, moździerz. Moździerz do ubijania też pieprzu, czegoś, cynamonu. Przed wojną cynamon był w laskach. Trzeba było go ubić na mękę w tym moździerzu. To był znów metalowy, z takiego żółtego, co to, mosiądz żółty jest. Metalowe takie wysokie naczynko, wąskie i taki metalowy tłuczek, i ubijało się ten na mękę, przesiewało. Pieprz był tylko ziarnisty, nie było mielonego. Też trzeba było ubić, moździerz. Drugi, kaczan. Znow jest na lekcji, bo to pamiętam, jak mi syn przychodził, żalił się, że źle mamusia jemu mówi. Mówi: „Co kukurydza ma w środku?”. No, a mój syn pierwszy: „Kaczan”. „Nie, głąb ma w środku”. Głąb. Nieprawda. Kukurydza ma kaczan. Głąb ma kapusta. Czyli ten środeczek taki, wie pan, to jest w kapuście głąb. A kaczan ma kukurydza. Tak że wie pan, są takie. Na przykład nazwa naczyń. Tak jak panu mówię, do kąpieli nie nazywała się wanna, tylko balia. I to było okrągłe, duże naczynie. Drewniane były, u nas w domu nie było wiadra metalowego. Były wszystkie wiadra drewniane. Tatuś sam robił, chyba nawet mi się wydaje, że tatuś sam. Najprawdopodobniej drzewo lipowe, musiało być miękkie drzewo, by dało się ładnie obrabiać. Normalnie tak jak wiadro, z tym że te metalowe takie węższe są wiadra, a to były takie szersze, normalnie tej wysokości, klepeczki, obręcze, dno, wszystko



zrobione, uchwyt zrobiony. Uchwyt już był zawsze z metalu jakiegoś. Nie wiem, z czego, ale uchwyt to już nie był drewniany, tylko była tak rączka dorobiona z jakiegoś takiego drutu grubego, coś. Wiadro. Też nie wiedziałam... Aha, wiadro. Wiadro to jest ogólna nazwa. Potem do pojenia bydła, krów, koni, na dworze przy studni stało, u nas mówili na to „koryto”. I też nie wiedziałam, czy to prawidłowo powiedziane, bo ja tak nieraz nie chciałam mówić, wie pan, tych, bo tak mówię, wstydziłam się, że ja powiem takim żargonem wołyńskim. To było naczynie drewniane z grubego pnia drzewa, ale z grubego bardzo pnia drzewa, wydlubany środek, rozumie pan, że zrobiona wnęka jest i w to się, jest potem tym papierem, bo papier ścierny był, tym papierem wszystko, najpierw tymi narzędziami, dłuto, hebel, wy... Jak to się mówi, wypolerowane, i w to się nalewało wody, i z tego piły krowy, piły konie. I co jakiś czas trzeba było wyszorować też to, bo taki zielony jak gdyby osad osiadał na tym drzewie, od wody, wiadomo, studnie były kopane. Studnie były najpierw na żuraw, wie pan, żuraw jak wygląda, mówię, ten taki do góry, co taką tą tyczką wodę. Potem już mieliśmy przed wojną na korbę. To było lżejsze. Bo ten żuraw był dobry jak pełne wiadro do góry... Nie, też było ciężko. Ale najgorzej było puste wiadro do studni opuścić. To jest tak, ciężko było, bo żuraw miał z tyłu na tym swoim tym, miał taki duży ciężar przywiązany. Taki kamień był przywiązany, żeby on potem do góry, rozumie pan, to wiadro podciągał, żeby ten kamień ciągnął ten drąg z tym wiadrem. To tak było ciężko do studni to puste wiadro, bo trzeba było dźwigać ten kamień na tym końcu do tej... Jak już się nabrało wody, to było lżej do góry, bo ten kamień ciągnął już wtedy. A już przed wojną mieliśmy nową studnię, cembrowana, pierwsza studnia była, jak pamiętam, pierwszą z drewna. Czyli była kwadratowa i szalowana drewnianymi deskami. A druga była już cembrowana z kręgów. Były te zwiezione kręgi takie betonowe, i już była cembrowana, i na korbę. Oj, to już było dobrze, bo na korbę lżej się kręciło tę wodę. A propos tego koryta, krowy nie były wrażliwe, dla krów mogło być to koryto zielone, krowy piły wodę. Krowy na przykład, jak na pastwisku mieliśmy dwa oczka wodne. Jedno było specjalnie wykopane, to była sadzawka, o, tak zwana sadzawka. Też ja nigdy nie powtarzałam, jak komuś opowiadałam, to mówiłam: „Mieliśmy staw rybny”, a u rodziców nazwa była „sadzawka”. Teraz opowiadania są i „Rolnik szuka żony” oglądam nieraz, sadzawka. Sadzawka. Nie staw, sadzawka. A ja tego bałam się używać słowa, bo sądziłam, że to też jest gwara wołyńska, sadzawka. Krowa z sadzawki się napiła wody. Potem mieliśmy kawałeczek takiego bagienka, gdzie nawet torf tam można był wykopać. Do opału był torf w tym. To krowa i tam napiła się, a koń nie. Koń wypił tylko czyścusięnką wodę. Albo z rzeczki płynącą, czyścusięnką jak kryształ wodę. Koryto musiało być zawsze czyste, bo koń nie wypije. Jak tylko była tam taka zielona pleśń, to już koń nie wypił wody. Tak czyste są konie. Tak czyste są konie. Już pamiętam właśnie, jak to było. Więc ja mówię, że stryjowi bardzo powodziło się bogato. Jak on do nas przyjechał, to zawsze prezentów to był dosłownie cały... Ja zawsze chcę powiedzieć „cały samochód”, cały wóz konny to był prezentów i był u nas miesiąc, kładł zawsze 500 złotych. Niby na swoje utrzymanie. Tatuś nie chciał, mamusia też mówiła. Bo kiedyś na przykład, wie pan, mamusia nie zwróciła się po imieniu do stryja, „Marcinie”, tylko „szwagrze”, a on do mamusi też nie mówił po imieniu „Ludwika”, tylko „bratowo”. Taki był, wie pan, szacunek. On „bratowo” mówił, mamusia do niego „szwagrze” mówiła. Na przykład do rodziców w życiu u nas, nie wiem, jak w innych rodzinach, żeby powiedzieć „ty” do rodziców? Albo nawet w ten sposób: „Mamusi, daj mi”. Nie. „Mamusi, proszę mi dać”, „Mamusi, proszę mi tam podpisać”, w ten sposób się zwracało do rodziców, z wielkim szacunkiem. Mamusię w rękę się całowało, nawet i nieraz ojca też w rękę się całowało. Bardzo był wielki szacunek. I mówię, nie było tak jak dzisiaj tak, między sąsiadami było po imieniu, ale „pan”, „panie Aleksandrze”, „panie Cezary”, „panie Soterze”. Nie było tego, że: „Ty, słuchaj, Cezary”, czy tam tego, „Panie Florianie”, tak nie było takiego, wie pan, jakby spoufalania, czy ja nie wiem, jak to nazwać. Taki szacunek był między ludźmi.

**Rafał Pękała:** Dobrze, zobaczymy to zdjęcie.

**Władysława Kamińska:** I tak że sądzę, że to stryj, stryj robił aparatem.

**Rafał Pękała:** Że stryj robił, aha.

**Władysława Kamińska:** I to stryj. To zdjęcie rodzinne, które tu mam, to było robione w 1938 roku, jak robili do dowodów osobistych. Bo w 1938 roku były dowody osobiste robione.

**Rafał Pękała:** Czyli to są te zdjęcia, właśnie te, tak? To są te do dowodów, a...

**Władysława Kamińska:** To są rodziców, a to do dowodów, tak.

**Rafał Pękała:** Tu po prostu razem zrobiliście.

**Władysława Kamińska:** Ja mówię, to są z dowodów rodziców zdjęcia. Tu już mi teraz ktoś zrobił na tym komputerze te zdjęcia. I wtedy tatuś, to ja pamiętam, że mówi: „Zabierzemy i Władeczkę z sobą”, bo przecież ja tam nie byłam potrzebna do dowodów, do zdjęcia, ale mówi: „Zrobimy zdjęcie pamiątkowe całej rodziny”. Z wyjątkiem najstarszej siostry, bo już zamężna była.

**Rafał Pękała:** To było u fotografa w Dereźnie, tak?

**Władysława Kamińska:** W Derażnym, tak.

**Rafał Pękała:** Derażnym.

**Władysława Kamińska:** Tak, to było zrobione w Derażnym. To było w Derażnym. Fotograf robił to normalnie, to jest oryginał.

**Rafał Pękała:** Proszę powiedzieć, kto jest na tym zdjęciu.

**Władysława Kamińska:** Jak pan wie, pierwsza ja jestem.

**Rafał Pękała:** Tutaj, tak?

**Władysława Kamińska:** Za mną Władysław, brat.

**Rafał Pękała:** Tu jest Władysław.

**Władysława Kamińska:** Władysław, który mówię, w wojsku był rosyjskim, co dostał się tam. Rodzice siedzą.



**Rafał Pękała:** Tutaj, tak?

**Władysława Kamińska:** Siostra Józefa za mamusią.

**Rafał Pękała:** Tu jest Józefa.

**Władysława Kamińska:** Stefan za ojcem, brat zabity.

**Rafał Pękała:** Ten, który został zabity w 1943 roku, tak?

**Władysława Kamińska:** W 1943 zabity. I Stanisław, najmłodszy. Znaczący, przede mną już, ostatni przede mną. I dwoje zmarło. Janeczka i Franciszek zmarli. Brat zmarł na szkarlatynę, miał 7 lat. A Janeczka na zapalenie płuc zmarła, 11 miesięcy miała. Kiedyś nie było ratunku na te rzeczy, na zapalenia płuc. Lekarze, nie lekarze, przecież mówiła mamusia, lekarze byli bez przerwy, jak ratowali tego Franciszka, a dyfteryt cały założył i zadusił. A Janeczka zmarła na zapalenie płuc. Czyli moja babcia pochowała córkę 16-letnią, 20-letniego syna i 28-letniego syna. I sama zmarła, mając 45 lat. Zachorowała też na zapalenie płuc i zmarła. Tak że mamusia mówi: „Wysłałam za męża, nawet nie doczekałam się pierwszego dziecka, bo jeszcze nie urodziłam tej pierwszej córki”, mojej siostry, to zmarła babcia już. Już ją dobiły, trzy pogrzeby dorosłych dzieci miała.